Wydawnictwa rok VII.
Dnia 1 września 1929 roku.

Nr. 313

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

KSIĄŻKA O DWÓCH OJCZYZNACH

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

KSIĄŻKA O DWÓCH OJCZYZNACH)*

„Za dobrze wszystko pamiętał! Był, jak człowiek który powstał z martwych — i którego czarowną wiarę w potęgę życia skaziło czarne zwątpienie grobów".

J. Conrad: Ocalenie.

Pisarz a krytyk.

Bardzo dziś u nas modnem się stało wymawiać krytyce jej błędy i niedopatrzenia. Kilku pisarzów poszło w kolei tej aż tak daleko, że nibyto walkę jakąś rozpoczęli z krytyką naszą współczesną, — czy jest potrzebna, czy może niepotrzebna i czego można się od niej nauczyć i kto od kogo mądrzejszy, — więc pisarz od krytyka, czy krytyk od pisarza?

Rzecz prosta, — całe zagadnienie na fałszywej osi nieodpowiednio było okręcone, inna to bowiem sprawa budowania syntezy emocjonalnej z płynnego elementu życia a znowu inna sprawa, — budowa zwartego kanonu zasad wynikłych z owych twórczych syntez emocjonalnych.

Nie posuwa się przecież jedno naprzód bez drugiego, potężna budowa owych twórczych syntez emocjonalnych idzie zawsze ręka w rękę z szerokim rozwojem myśli krytycznej literackiej i to, co twórczy pisarz wybierze z wielkiej fali życia organizacyjnym aktem współczucia, entuzjazmu i miłości, to krytyk odtworzyć musi raz jeszcze, kondensując rzecz do coraz prostszych, ściślejszych, zimniejszych propozycyj; — Wtedy dopiero rzecz cała przerobiona zostanie w tkaninie literackiej, od prawej strony czarującego wzoru i od lewej, to jest od strony wszystkich sposobów, węzłów i ściegów zasadniczych, które o jakości tkaniny stanowią.

Sprawy te przyszły mi na myśl, gdy zapragnąłem po przeczytaniu „Ocalenia" Conrada napisać krytykę o tej książce. W miarę moich usiłowań widzę, iż do takiej pracy krytycznej nie jestem wcale uzdolniony: Potężna treść tej powieści nie może w rozumieniu mojem osadzić się spokojnie, raz wraz zapala jakoweś długie, coraz dalsze szeregi spraw i wzruszeń i doznań i aż nazbyt dookolnych zawiązań: A przecież, gdybym miał uzdolnienia krytyka, działo się zgoła inaczej: Odbywałby się proces krystalizacji, na mocy którego cała sprawa „Ocalenia" dałaby się sprowadzić do kilku najjaśniejszych najprostszych osi wytycznych.

Ukazać owe osi zasadnicze to dzieło krytyki; to tosamo, co ustanowić osie dla kryształu. Nie znajdzie czytelnik tych ważnych rzeczy, lecz — co najwyżej, — spotka się z liryczną reakcją, jaką rodzi lektura Conrada.

Zwierzeń z reakcji tej nie podaję do druku, dlatego iżbym uważał wysoko ich cenność. Nic podobnego. Sądzę tylko, że taka właśnie wymiana zwierzeń, na marginesie lektury uczynionych przyczynia się w pewnym stopniu do bujności życia takich dzieł, jak „Ocalenie" Conrada.

Aura dzieła.

Wydaje mi się, że każdy potężny autor ma w dziele swem bujność mocy tak wielką, iż działa ona niejako poza, czy ponad sferą wytoczonych przez owego autora spraw kwestyj, lub zagadnień. Coś jakby atmosfera dzieła, jego aura, duchowy ton. Nie będzie to kwestją artystycznych środków pisarza, — jest to coś jeszcze wyższego, — jakgdyby ton, czy barwa indywidualności moralnej.

Taki ton (brzmi to paradoksalnie) czułej wnikliwej obojętności ma wobec ludzkich spraw Balzac. Ton straszliwy, z którego autor czyni niejednokrotnie ustępstwa czytelnikowi, — ton przedmiotowej wyrozumiałości, graniczącej z absolutną pogardą.

Jakże inna jest aura dzieł Flauberta: Pod pozorem drobiazgowo - rytmicznej, tak pomiernie — układnej prozy bije przecież serce człowieka, który nie może patrzeć spokojnie na losy swych ludzi. I to jest właśnie takie piękne, takie szczytne w dziele tego pisarza, jaknajdalszego, zda się się od wybuchów lirycznych: Iż na każdym zakręcie swej prozy autor dla oszczędzenia sobie ciężkich doświadczeń, które przeżywać muszą jego ludzie, gotówby poświęcić całą najmozolniej zbudowaną wiarę w konieczną konsekwencję losu swych bohaterów. Nie poświęca jej przemaga się jednak, ale ileż go to kosztuje cierpień i jak cierpienia owe dokładnie widać, pulsujące wciąż na wszystkich stronicach subtelną symboliką wydarzeń, czy nawet, — najnaiwniejszą symboliką przedmiotów!

Aura Tołstoja to spór prawd nie tyle nawet społecznych, ile stadowych, miotających człowiekiem, rozumniejszym, wznioślejszym, niż prawdy owe, który jednak z ponurą pasją samoudręczenia poddaje się tym sporom składa wyniosłe piękno swego życia, na ołtarzu pospolitej idei.

A znów duchowy ton Prusa, który wcale nie widzi mi się tak łagodnym i dobrotliwym; ton wielkich jego dzieł (nie publicystyki poczciwej), — przepastnie pobłażliwa improwizacja zacności serca ludzkiego na tle jakże głęboko zrozumianej małości krzątającego się w życiu człowieka.

*) Joseph Conrad, Ocalenie, Warszawa 1929, Dom Książki Polskiej, spółka akc. Tłomaczyła z angielskiego Aniela Zagórska.

Teraz zaś ton Conrada, jakby idący z jakowychś miejsc nie obeszłych i nagle, — znikąd zarazem. Ton straszliwej, patetycznej rozterki, pomiędzy, — ująć tego inaczej nie potrafię, — światem rzeczywistym mórz, lądów, brzegów, podróży — a jakimś innym światem w tamten pierwszy wplątanym, zdradzonym, czy poniechanym, czy też może zapomnianym, który był od rzeczywistego świata, jakby wyższy i lepszy, stokroć więcej moralnie ważniejszy, a jednak musiał zostać zdradzony.

Ową rozterką patetyczną, która ma w sobie jakkdyby przed ustawną moc w stosunku do wszystkiego, co nastąpi, lub coby mogło nastąpić w rozwoju opowiadania naznaczone są, niby klątwą, wszystkie ważniejsze osoby conradowskich powieści. Rozterkę tę przynoszą ze sobą na świat, tchną nią odrazu od pierwszych stronic opowiadania, od pierwszych swych poruszeń i z pierwszych wyrzeczonych słów.

Stąd groza idąca z wszystkich powieści Conrada, stąd nie istniejący nieomal u tego pisarza pierwiastek humoru (mimo niesłychanie bystrej, nieomylnej, zda się, obserwacji szczegółów) stąd tragiczna, przerażająca zbędność pracy, jaką wykonują osoby powieści, pracy, jakgdyby zgóry skazanej na zagładę.

Wspomniałem tu o „aurach" dzieł wielkich twórców: Tamte aury, — dajmy na to Tołstoja, Flauberta, Prusa, czy Żeromskiego, nie posiadają, — że się tak wyrażę, — cech nieodwołalnych. Czytelnikowi może zdawać się, że gdyby w danym wypadku, tak lub inaczej wypadła rozgrywka Napoleona z Kutuzowem, — idea przenaczenia losów i tajemniczych trybów działania ludzkiego na wojnie ukształtowałaby się odmiennie, niż to w danej okoliczności formuje autor.

Możnaby to samo powiedzieć o względności duchowego tonu Prusa, czy Żeromskiego. U Conrada jednak dzieje się inaczej: Jego ludzie przychodzą już na świat z tą sprawą wewnętrznej tajemniczej rozterki, z tą jakąś walką straszliwą, odbytą już pomiędzy światem rzeczywistym a tamtym innym wyższym, utęsknionym światem wewnętrznym.

Dana akcja, danej powieści kończy już zawsze tylko, czy ostatecznie pieczętuje tę sprawę tragiczną, uprzednio w losach danej osoby przesądzoną.

W świadomej izolacji.

Jakby dla dokładniejszego rozegrania tych spraw Conrad w powieściach swych, izoluje swych bohaterów od wielkiego splotu rozbudowanej wszędzie na świecie szeroko sprawy społecznej, historycznej, czy ogólnie choćby mówiąc — życiowej. Tak, jakby pragnął, by rozgrywce takiej nic już nie przeszkadzało. Czy też, jakby się bał, że sprawa ta na bitym, szerokim trakcie wspólnego przemijania ludzkiego rozdrobni się na szczegóły a może nawet zniknie pod naciskiem codzienności.

Stąd może tak charakterystyczna i tak w ogólnym schemacie podobna do siebie akcja powieści Conrada. Bo przecież nie chodzi tu o to, aby to była koniecznie powieść „morska" i żeby się działo koniecznie na okręcie. Za dobrze umiał Conrad morze i okręt, aby chciał temi akcesorjami popisywać się przed czytelnikiem. Ale morze, czy brzeg jego tajemniczy, czy wreszcie przejazd na tym jakimś okręcie, prawie zawsze izolowanym od normalnych warunków nawigacyjnych najcięższemi warunkami klimatu (burze, nawałnice, cisze morskie, ciemności i t. p.) daje właśnie temu pisarzowi tak potrzebną i upragnioną izolację, dla jego wielkich rozgrywek: Izolację od szerokiego traktu spraw, wyłączność, eksterytorjalność, osobniczość.

Powieści Conrada odbywają się przecież, jakby w zawieszeniu jakiemś między ziemią a niebem, zawsze prawie w podróży w stanie przejściowym, zawsze pośród ograniczonej ilości osób. Zasadniczy więc konflikt ma zupełną swobodę wydźwięku, nie łączy się rozgałęzieniami swemi z żadną wielką masą z żadnym dużym „zasiedziałym", zagospodarowanym kompleksem społecznym.

Z tego też względu powiedziałbym, że właściwie — powieści Conrada, nie są powieściami sensu stricto. Są to świetne studja, wspaniałe monografje pewnych uczuć (posiadających zawsze to samo znamię niebywałej tragicznej rozterki) niezmiernie pogłębione nowele, — a jednak nie powieści.

Powieść bowiem, aby sprostała swej formie musi posiadać obowiązującą doznaną rzetelnie przez dany wybór osób, załamań, czy spraw sankcję wyraźnie i najściślej określonego środowiska narodowego, społecznego, historycznego i t. d. Dany temat, czy kompleks powieściowy musi przecież (aby ta rzecz mogła być przekomponowaną w bryle, a nie w płaszczyźnie) musi utkwić korzeniami swemi głęboko w tem określonem środowisku. Ów dany kompleks musi być poddany wszystkim możliwie najzupełniejszym próbom, reakcjom, naciskom określonego środowiska, — by mógł świadczyć o przetwarzającej pracy swojej na tle danego świata.

Conrad unika naogół tego gatunku roboty. Z tematem swym jakgdyby zazdrośnie uciekał w dowolne, żywiołowe bezmiary wód, czy lądów; Conrad, jakby się bał (w czem dopatruję się wzruszającej i najszlachetniejszej słabości tego pisarza) że wśród kurzu bitych twardych dróg nie utrzyma na wodzy uczuć tej rozterki patetycznej, która droższa mu jest od wszystkich innych spraw świata.

Kapitan Lingard — a kapitan Conrad-Korzeniowski.

Taką samą ucieczką dla rozprawienia się z problemem duszy niejako sam na sam, w odosobnieniu od rzeczywistych warunków ‚normalnego" życia jest „Ocalenie".

Właściciel brygu kapitan Lingard, zajęty sprawą uwolnienia z pod jarzma najazdu skrawków wybrzeża malajskiego i powrócenia tego wybrzeża prawowitym właścicielom i władcom, to jest księciu Hassimowi i jego siostrze Immedzie, — właśnie w momencie zbliżającej się rozgrywki i walki spotyka na wodach tego wybrzeża mały jacht angielski.

Kapitan Lingard zawdzięcza życie swoje dawnemu właścicielowi tego wybrzeża księciu Hassimowi, ocalony przez niego w pewnej awanturniczej przygodzie. Teraz jednak w obliczu tego jachtu kapitan wie *odrazu*, że stanie wobec jakiejś straszliwej alternatywy wyboru pomiędzy zobowiązaniem honoru, a—?

Okazuje się, że kapitan wybrać będzie musiał pomiędzy alternatywą honoru a miłości. Miłością tą jest właścicielka jachtu, podróżująca tu wraz z mężem swym i innymi gośćmi z wielkiego świata — pani Travers. W prostej duszy kapitana, — rzecz naturalna, — nie może być żadnego wyboru, pomiędzy wartościami współrzędnemi z pośród których wybierać, — nie można. Kapitan Lingard nie wybiera zatem, lecz, — niejako współrzędnie, — idzie dwoma drogami naraz, na drogach tych tracąc jedno i drugie miłość i honor. Nie należałoby właśnie mówić, iż kapitan Lingard traci jedno i drugie. Nie uczynił nic takiego, z powodu czego miałby, — tracić. Jedno i drugie ginie, niejako samo przez się, w konflikcie uczuć.

Przypuszczam, że tak rozumieją treść tej książki anglicy: — Między honorem a miłością. I chyba tak a nie inaczej układa się zagadnienie tej powieści na powierzchniach konfliktu. Jeżeli jednak poddalibyśmy uważniejszemu badaniu owych przedstawicieli walczących czuć, czy też zwalczających się obowiązków, a więc z jednej strony panią Travers, z drugiej zaś księcia Hassima i jego świat, — przekonalibyśmy się, że miłość kapitana Lingarda do pani Travers mieści w sobie o wiele więcej i bardziej różnolitych czynników, niż zwykła mieścić najwyższa nawet miłość mężczyzny do kobiety.

Przekonalibyśmy się też, że uczucia, jakie żywi kapitan Lingard dla księcia Hassima i jego siostry i jego sprawy i jego walki, to nietylko uczucia zobowiązania honorowego, czy też męskiej niewzruszonej słowności, czy też podziwu, lub upodobań człowieka zachodu dla fantastycznej krasy dzikich „nowych" ludzi.

Pani Travers to dla kapitana Lingarda nietylko ukochana kobieta, lecz znacznie więcej: To jakby jedyna możliwość ukochania. A jednak nie dająca się zdobyć, powierzchnią nawyków swych, trybem codziennego życia, odmiennością sfery zawsze obca, obca nawet wtedy, gdy przychodzi na brzeg morski wbrew swemu mężowi, wbrew wszystkim pozorom wielkoświatowego konwenansu, by oddać swe życie w ręce kapitana ;a równocześnie mówiąca mu, — niech pan się napatrzy, niedużo ma pan czasu...

Pani Travers szachuje tylko kapitana rychłym terminem swego odjazdu.

Tak, tak, kapitan Lingard stracił całą moc swej inicjatywy od chwili, gdy w życiu jego pojawiła się pani Travers. Dla pani Travers zaniedbał rzetelnej rozgrywki o panowanie księcia Hassima na tym wybrzeżu malajskiem. To prawda. A jednak mimo, że przecie mógł zdobyć panią Travers, tę najcudowniejszą może z wszystkich powieściowych bohaterek Conrada, — (a któż z pisarzów tyle piękna potrafi zamknąć w postaci kobiety, co Conrad?!) nie sprawił tego, zatrzymawszy się nad grobem malajskiego powstańca, dawnego druha księcia Hassima, ze słowami: — To grób. Dziwna rzecz, — jak wiele może pomieścić grób, obliczony tylko na jednego człowieka.

Grób obliczony na jednego człowieka — zrozumiał to kapitan Lingard, — może mieścić więcej, niż jednego człowieka. O wiele więcej. Pomieścił on całą sprawę księcia Hassima, całą sprawę powstania jakiegoś małego plemionka przeciw wielkiej przemocy (holenderskiej) i zdradzie współplemieńców.

O ten grób potknął się kapitan Lingard i tu na wieki rozstał się z panią Travers.

Cóż więc tak bardzo ważnego, tak wieczyście mocnego mogli byli reprezentować w duszy kapitana Lingarda i w jego pojęciach ci biedni Hassimowie, wygnani z swego kraju, ci tak prześlicznie wierni Dżaffirzy?

Wierność? Honor? Powstanie? Ależ z biegu opowiadania widać, że takie morskie wilki jak Lingard mają za sobą takich spraw zniszczonych i zdeptanych — bez liku!

Sądzę — i tu dotykam niejako palcem sprawy o którą mi chodzi, — że w duszy kapitana Lingarda Hassim i Dżaffir i ich żołnierze reprezentowali wartości, których kapitan Lingard znać już nie mógł... Wartości z powodu których, w znacznej części pozostaje dla anglików niezrozumiałym a może nawet tajemniczym... Wartości, których nie mógł w swem życiu doświadczyć tak głęboko kapitan Lingard, ale które znał do dna od najwcześniejszego swego dzieciństwa kapitan Conrad - Korzeniowski: Wartości cierpień z powodu kraju utraconego, wartości powstań nieudałych, wartości utraconej Ojczyzny.

Wydaje mi się, że najpiękniej i najmocniej i najstraszliwiej polską ze wszystkich angielskich książek Conrada jest właśnie „Ocalenie"!

Zaprawdę — utracona ojczyzna, — w twardym sumiennym oglądzie człowieka niezmiernych dróg świata, — to przecież musi być mniej, niż każda inna ojczyzna. Jako że utracona, — więc słabsza i najsłabsza ze wszystkich innych. Tak to jest przecie z punktu widzenia twardej mocy życia. Lecz z tejże samej zasady mocy życia wychodząc, — jako że utracona, więc zawsze godna największego współczucia.

Jakże wiele pomieścić może grób, obliczony na jednego człowieka! Myśl tę za swego bohatera kończy już Conrad sam. Dla dobrego, porządnego anglika czemże więcej mogli byli być ci powstańcy malajscy, jak wkońcu sztafażem pewnych okoliczności kupieckich, czy zaborczych? Dla kapitana Lingarda stali się, — w razie najlepszym, — zobowiązaniem honoru. Lecz Conrad-Korzeniowski (dlatego załamuje się tu formalne piękno powieściowego rysunku, na korzyść patetycznej rozterki, która pięknem swem o stokroć przerasta ramy opowiadania) ujrzał w powstańcach owych tajemną sprawę najgłębszej istoty swej: Sprawę rozszczepienia swego pomiędzy tą cudowną panią Travers a tamtymi oto tragicznymi wygnańcami.

O wiele więcej, — niż spór pomiędzy miłością a honorem: Między życiem a życiem, — ojczyzną a ojczyzną.

Natchnienie klęski.

Wydaje mi się, że dopiero gdy się zgodzimy na pogląd wyrażony powyżej, jasnem się stanie dlaczego autor tak odmiennemi barwami, — tak odmiennemi w natężeniu wartości transcendentalnej maluje osoby jednej i drugiej strony, to jest anglików, względem europejczyków i owych malajów.

Wkońcu wszyscy oni, owi europejczycy (prócz starego norwega, Jörgensona) ci „ludzie z jachtu" to ludzie wąziutkiej normy, tresury, czy dyscypliny. Nawet ów powiernik pani Travers elegancki i bardzo subtelny hiszpan, pan D'Alcacer. Że już nie wspominam o panu Travers, jakiejś ekscelencji angielskiej, której nie skąpi Conrad groteskowego zgoła rysunku.

W odróżnieniu od tamtych ogrzewa autor wszystkie typy malajów (bez różnicy nawet ich wartości moralnej) specyficznym, czarowym polotem. Rzekłoby się — natchnieniem, ach tak bolesnem natchnieniem klęski. Obóz malajów, wszystkie jego postacie zasługują na specjalne studjum: Studjum owe mogłoby w wyniku swym przenieść, czy z typów tego wyłowić niejako, — zasadniczą syntezę tych charakterystycznych skrótów duchowych, jakie muszą wystąpić zawsze pośród działaczów podbitego ludu, walczącego z swem jarzmem.

Kto wie, czy Conrad odmalowując ów specyficzny typ tych ludzi, który obejmuje pod łączną nazwą — natchnienie klęski, — nie przejaskrawia nieco barw. Dzieje się to może nawet ze szkodą dla realności tak pięknych postaci, jak Hassim, Dżaffir, czy Immada. Nabierają one może aż nazbyt wielkiego polotu, nazbyt zwiewnej urody, aż nazbyt szlachetnej tężyzny moralnej.

Przekrzywia to w pewnym sensie równowagę kompozycyjną powieści, daje bowiem zbyt wiele piękna, rozmachu i siły tragicznej owym Malajom, natomiast zbyt mało krwi użycza europejskim anglikom. Mogłoby się tu wydawać na pierwszy rzut oka, iż owi dzicy tak całkowicie zwarci duchowo to rzeczywiście chyba sztafaż? Sądzę — i raz jeszcze to podkreślam, — że nie sztafaż, a tylko nazbyt już pełne serce autora, czy też więcej jeszcze, — jego instynkt najgłębszy, który szalę jakości duchowej przechyla na korzyść malajów.

Przypuszczam, że z takiej rozterki autora, którą określam, — „pomiędzy dwiema ojczyznami", — wynikają i inne, liczne a czarujące kompozycyjne braki „Ocalenia".

Tok narracji raz wraz przerywa się, zaskakuje naprzód, by znów cofnąć się ku minionym już wypadkom. Nie można przypuścić, by Conrad nie potrafił był opowiadania swego „gładko" ułożyć. Czy też, by rzecz sama nie dała się ułożyć harmonijnie. Każde najbardziej egzotyczne życie pomieści się zawsze wygodnie w dojrzałem dziele sztuki.

Sądzę więc tylko, że Conrad nie mógł uczuciowo opanować wątku tego opowiadania. Wbrew swej woli wybiegał naprzód, to znów cofał się wtył. Sądzę, że konflikt „Ocalenia" rozsadzał poprostu serce pisarza, pędząc przez nie jakgdyby równocześnie dwie wartkie, sprzeczne strugi, — ekspiacji i buntu. Działo się to chyba w stopniu tak silnym, że autor zapomina niejednokrotnie sam, iż osoby powieści nieuświadomione co do przebiegu konfliktu nie mogą o nim wiedzieć. A jednak przecie, mimo, że nie wiedzą, mówią. — jakby wiedziały. To już sam autor, Conrad przenika ich dusze i już, jak deus ex machina, porwany władzą autorską narzuca swym osobom to, co chce, by wiedziały, mimo, że w przebiegu akcji nie ma dla tego żadnych uzasadnień.

Styl tej książki.

O stylu tej książki należałoby pisać chyba oddzielne studjum. Nie można się nim dość nacieszyć. Nie można znaleść dość radosnego podziwu wobec czujnej obrotności tych zdań i porównań. Styl tej książki już od samego początku pełen jest tej duchowej potęgi, która szaleć będzie później wśród postaci dramatu. Element przyrody, słońca, wody, oddali, ciemności i światłości powołany zostaje mocą ewokacji autorskiej do współwalki o sprawę ludzką. Element ów jest sobą w każdem drgnieniu a równocześnie, — niby chór greckiej tragedji, — zapowiada rozważa, uprzedza, przeczuwa i przewiduje nieomylnie. Zdaję sobie całkowicie sprawę, że tyle zająwszy uwagi czytelnika nie napisałem rozważnego studjum o Conradzie, nie wytknąłem też osi w myśl, których układa się i narasta przepiękny kryształ conradowskiego „Ocalenia". Mimo to wszystko nie mogę rozstać się z Ocaleniem, by nie przytoczyć choćby kilku tylko przykładów stylu tej powieści.

Mówiąc o miłości żeglarza do statku, pisze Conrad: — „Ten statek był mu zawsze drogim, — jak dawna miłość ;zawsze pożądanym — jak obca kobieta; zawsze pełnym tkliwości — jak matka; zawsze wiernym — jak ukochane dziecię męskiego serca". Czyż można lepiej wyrazić i określić, czy można w określeniu jednem zamknąć więcej treści i prawdy życia!

O przyrodzie tego świata, która pod piórem Conrada nietylko towarzyszy, lecz wróży ludziom ich dzieje: — „Oba krańce (nieba i wody) zetknęły się i krągła przestrzeń wód nabrała nagle tonu mrocznego, jak zmarszczenie brwi, głębokiego jak ponura zaduma o złem.

Zdawało się, że senne wody zatrzymały na chwilę spadające słońce, z którego strzelił ku nieruchomemu brygowi po ciemnej powierzchni morza szlak światła prosty i jaśniejący, równy i wspaniały, ścieżka ze złota, purpury i fjoletu — olśniewająca i straszliwa — która prowadziła jakgdyby z ziemi prosto w niebo przez wrota chlubnej śmierci".

O kraju powstańczego księcia Hassima: — za każdą oślepiającą błyskawicą rodzinny kraj Hassima zdawał się przyskakiwać bliżej — poczem znikał natychmiast, jakby się czaił gdzieś nisko, gotując się do następnego skoku z nieprzeniknionych ciemności".

A znów gdzieindziej: — „W gromowych błyskach Lingard oglądał raz po raz wizję białego brzegu, gaj pochylonych palm, ostrokół tuż nad morzem, daleki las: rozległy krajobraz cichy i tajemniczy — ojczyznę Hassima, pogrążoną w niewzruszonym śnie pod gniewem i płomieniami niebios".

Ktokolwiek zna się choć trochę na prostej a najdziwniejszej ze wszystkich technik sztuki, na technice pisania, gdzie przecież ze słów których używają wszyscy, z kamyków które każdy w swem ręku obraca, ułożyć trzeba nagle, wszędzie, na każdym kroku książki cud wielokrotnego porozumienia między sobą a czytelnikiem, a rzeczą a jej sensem przenośnym, a celem ostatecznym opowiadanej sprawy, a wreszcie i wszystkiem tem co przemilczane być musi, iżby rzecz powiedziana mogła mieć w sobie wdzięk ofiar

nieujawnionych nigdy — oceni łatwo, ile w tym conradowskim sposobie pisania mieści się sztuki najwyższej, płynącej z nieprzebranych skarbów duszy.

Zaiste wielkie dzieło, potężne, pełne wzniosłej, tragicznej rozkoszy, dzieło którego braki widoczne i doniosłe napełniają czytelnika jakby zdwojoną jeszcze miłością do autora!

Juljusz Kaden - Bandrowski.

CZYTAJĄC CONRADA

W liljowy letni przedwieczerz czytam pod lasem Conrada.
Słońce zachodnie się pali w niebios błękitnej głębinie.
Jest cicha, polna pogoda. Jest spokój miły, prawdziwy.
Ptak jakiś z równi nadlata, w zielone drzewa zapada.

* * *

Wiatr lekko trąca gałęzie, jak płótna żagli rozpiętych,
Szal chmur rozsuwa się wolno w białe przędziwo obłoków.
I cienie gotyckie świerków padają przytulnym mrokiem
na chłodną murawę łąki, na pola jeszcze nieżżęte.

* * *

Przerzucam natchnione karty. Myśl biegnie chyża i lotna
za wizją światów dalekich, zdumionym odkrytych oczom:
gdzieś w smugach szumiącej dali na wód bezkresnej roztoczy
płynie, jak mała planeta, okręt ogromnie samotny.

* * *

Czas karczy się i więdnie. Dni lecą chybkie i lśniące.
I noce pełne wydarzeń, jak sny zawiłe, mijają.
Głębokim, wnikliwym tonem liny nad statkiem śpiewają.
I ponad masztów dziobami mknie niebo niepokojące.

* * *

Mknie z lądowego zaświecia, nieudolnego pieśniarza,
porywa ta wizja groźna okrętu o jasnej bieli,
ta piramida świetlista, sunąca po mórz topieli.
Zjawiają mi się postacie nieustraszonych żeglarzy.

* * *

Wskrzeszone wolą płomienną wielkiego piewcy, rodaka,
w zgiełkliwym tłumie zebrane na kartach książek wspaniałych,
płyną te Cienie dostojne w krainy ciszy i chwały,
na wieczne rzeki zapomnień, w ojczyznę górnej Ithaki.

* * *

Wolno się rzeźwię z zadumy. Zda mi się, nie z kart — z przestworza
grzmi rozkaz potężny: „Równo!" i światy wszystkie przenika.
Pod dźwięk słów takiej komendy Peyrol na zawsze zamilkał
samotnie i bohatersko na falach niebieskich morza.

* * *

Słucham: to ciche gałązki żałobną nucą pogwarkę.
Już słońce zachodnie liże karmazynowym płomieniem
wąziutką grań widnokręgu. W milkliwej, głuchej przestrzeni
zniknęły widma. Przepadły. Dmie lekka, wieczorna morka.

ANTONI MADEJ.

POGODA

Oto me życie jasne:
Miodny dzban słońca rannego
I złote kuliste jaskry,
Płonące nad rzeki brzegiem.

Modli się ranek tęskniący
Wonnemi poszeptami
I ja się modlę: — na łące
Kwiaty i kwiaty nad nami.

Po łące cień przemyka
I żółte kwiaty kryje.
Nad nami astry słowika —
Błękitne — ciche — niczyje.

Rzeka falami chlupocze
Wilgotne, nieznane słowa.
Dni niespełnione i noce
W falach, jak w sercu chowa.

A jaskry płoną nad rzeką.
Miłością wieje od nich,
Jak dobrze, że jest tak daleko.
Tak blisko i tak pogodnie.

KWITNIENIE ŻYTA

Żyto szepcze najcichszym szelestem.
Wiatr leciutko do żyta się tuli.
Ranek dzwoni: miodny, pszczelny jestem —
Więcej pszczół mam, niż tysiące uli.

Wszystkie naraz paszczę pszczoły złote
Na szumiący łan wonnego żyta.
Żyto pachnie wiośnianą tęsknotą,
W woni żyta tajemnica życia jest ukryta.

Oto w cichym, lekkim wiewie wiatru
Żółtą wonią szumi gorycz żytnia.
Płodnym pyłkiem wiatr zalążnie zatruł:
Nowe życie w nich się rozbłękitnia.

Lećcie, pszczoły, radość ponad żytem!
Tam radości owej się nauczcie!
Smutnym sercom się objawcie jasnym świtem
W płomienistej pojednania uczcie!

SPOKÓJ ZIMOWEGO WIECZORU

Spokojnie miesiąc lśni nad polem białem
Wiatr cieszy się, że tak szeroko w zimie.
Cieszę się też, bo tu gdzieś zapodziałem
Wśród śnieżnych pól twe ukochane imię.

Śnieg — biały ołtarz. Świece gwiazd się palą.
Za ciężkie były snać i z nieba spadły.
Klon w białej komży dymi modrą dalą
I taki cichy jest, jak mnich wybladły.

To nic, że kiedyś był radosny sierpień,
Że ranki się jabłkami rumieniły
To przecie takie szczęście z męki cierpień
Na dalsze dni istnienia czerpać siły.

Słonecznych dni już nie żałuję wcale.
Wszystko, co było, tak daleko, tak daleko.
Może i lepiej to, że jesteś dalej,
Że wszystko łza przesłania pod powieką.

Ostatni dzień, niby razową pajdę,
Na drogę błysk nadziei jasnej poda,
Odejdę i imienia twego już nie znajdę —
Zostaniesz ty i w rzekach siwa woda.

JAN SZCZAWIEJ

NA MARGINESIE

KOMITET BUDOWY POMNIKA E. ORZESZKOWEJ W GRODNIE ustalił ostatecznie datę odsłonięcia pomnika wielkiej pisarki na dzień 13 października b. r. W tym czasie ma się też ukazać zbiorowa praca wydana z racji uroczystości odsłonięcia pomnika. W zbiorowej pracy, którą wydaje komitet w formacie Ateneum dawnego, — około 100 stronic, drukowane będą nieznane dotąd listy Orzeszkowej do Zdziechowskiego, listy Konopnickiej, Jeża, Meyet'a, wreszcie dokładne opracowanie pamiątek po Orzeszkowej w Grodnie, przez kustosza tamtejszego muzeum p. Jodkowskiego.

* * *

BAJKI KASPROWICZA I MAKUSZYŃSKIEGO przetłomaczone na angielskie przez p. Łucję Szczepanowiczową zostały wydane pod łącznym tytułem „The Tolly Tailor" w firmie Longmans-Green w Nowym Jorku. P. Szczepanowiczowa wykończyła już przekład angielski „Królowej Niebios" M. Gawalewicza. Rzecz ta ma się ukazać tej jesieni wydana nakładem firmy Lincoln-Mac Veagh w N. Jorku.

* * *

PARYSKA „POLONIA NOVA" w artykule swego redaktora p. W. Budzyńskiego podnosi cały szereg zarzutów z racji pawilonu na P. W. K., poświęconego Polakom na obczyźnie; a zwłaszcza z racji działu Polaków przebywających na emigracji we Francji.

„Trochę amatorskich zdjęć w albumikach, trochę pamiąteczek drogich czyjemuś sercu, ale nie wiele mówiących do ogółu, — czy to są Polacy zagranicą? A praca tysięcy, — tysięcy rąk? A wielki stan posiadania, wydarty energją i mózgiem na obcym terenie obcemu światu? A układ sił? A zagadnienia, któremi żyjemy?"

Wedle p. W. Budzyńskiego stoisko emigracji polskiej we Francji na wystawie poznańskiej — jest wstydem, ale jednocześnie przedstawia wierny obraz stosunków panujących dotąd na wychodźctwie we Francji, to znaczy rozbieżności kompletnej pomiędzy czynnikiem rządowym a społecznym.

Jeżeli czynniki te odczuwają się wzajemnie tak, jak to się działo podczas otwarcia pomnika Mickiewicza w Paryżu, to istotnie trudno o bardziej głęboki rozdźwięk między czynnikiem rządowym a społecznym...

* * *

ŻE TEŻ ICH TAM NIE BYŁO! Wyższy urząd górniczy komunikuje w dniu 17 sierpnia, że dnia 16 sierpnia nastąpił na kopalni „Hildebrand" na pokładzie „Gerarda" w głębokości 600 metrów za pochylnią 17-tą wybuch pyłu węglowego. Znaczna część chodnika została zawalona, przyczem 7 osób zostało lżej, lub ciężej rannych, a 16 zupełnie przysypanych. Do rana wydobyto 14 ofiar katastrofy, wszyscy są martwi.

Akcja ratunkowa zorganizowana została natychmiast. Początkowo dojście do miejsca katastrofy możliwe było tylko w aparatach ratowniczych. Równocześnie przywrócono wentylację, tak, że stopniowo można było podchodzić bez aparatów.

Dochodzenie prowadzi okręgowy urząd górniczy z inż. Badowskim na czele i wyższy urząd górniczy w Katowicach z naczelnikiem Kuczyńskim".

Mam zaszczyt znać osobiście obu dzielnych panów inżynierów Badowskiego i Kuczyńskiego. Prowadzą teraz dochodzenie w sprawie tego strasznego wybuchu.

Żeby się też zechcieli w materji tej poinformować u jakiegoś rzeczywistego znawcy warunków życia na kopalni! P. K. Irzykowski odkrył przecie takiego znawcę (sztygara, czy inżyniera) na P. W. K.! W myśl opinji tego to właśnie znawcy, opinji, którą autor Pałuby chętnie podziela, pożary na kopalniach i wybuchy — to już tylko *rekwizyt romantyczny*. Pożary zdarzają się, ale „przy dzisiejszych środkach ograniczają się do małej przestrzeni, — nie są straszne".

Że też ich tam na dole nie było p. Irzykowskiego z jego fachowym rzeczoznawcą wystawowym! Może zdołaliby we dwóch wytłomaczyć tym nieszczęśliwym ludziom na pokładzie „Gerarda" za 17 pochylnią, — że takie wybuchy pyłu węglowego to tylko rekwizyty romantyczne, przy dzisiejszych środkach technicznych — wcale nie straszne!

* * *

KASA IMIENIA MIANOWSKIEGO wydała w drukarni w Warszawie Łazarskiego zarys swych Dziejów, Zadań i Organizacji. Broszura ta podaje zwięzłą historję Kasy (instytucja założona została w r. 1879, 22 stycznia), skład pierwszego komitetu (T. Chałubiński, P. Chmielowski, H. Sienkiewicz i inni).

Z działalności tej instytucji notujemy niektóre dane: Udzielono zapomóg na 1.000 tomów o przeszło 400.000 stronach; na opracowanie zgórą 130 dzieł; na częściowe pokrycie kosztów 42 czasopism. Ogółem wydano na te cele 11 miljonów złotych.

Zapis pól naftowych przez inż. Witolda Zglenickiego umożliwił Kasie prowadzenie akcji pomocy nauce na wielką skalę.

W ostatnich latach dzięki zapisom i darowiznom Kasa ufundowała Domy Wypoczynkowe dla pracowników naukowych. Pierwszy z nich powstał pod Otwockiem nad Świdrem. Następne powstać mają w Konstancinie, w Zakopanem i w Maniewiczach na Wołyniu.

W 1928 r. Kasa przystąpiła do założenia własnej drukarni. W drukarni tej ukończono między innemi druk Słownika Języka Polskiego, nad którym praca trwała 27 lat.

Obecnie — o ile sądzić można z dołączonego do broszury apelu, Kasa, mimo finansowej pomocy rządu musi odwoływać się jeszcze do ofiarności społeczeństwa. Majątek Kasy został nadszarpnięty brakiem dopływów z kopalń naftowych, których mimo odnośnych przyrzeczeń rząd sowiecki nie chce Kasie Mianowskiego zwrócić.

W apelu Kasy imienia Mianowskiego czytamy: „Jakkolwiek Skarb Państwa przychodzi Kasie imienia Mianowskiego z pomocą materjalną, nie możemy od niego wymagać, aby sam ponosił ciężar wielkich zadań, jakie dziś stoją przed nauką polską.

Do oświeconych obywateli, do organizacyj samorządowych, gron nauczycielskich, firm handlowych i przemysłowych odwołujemy się o współdziałanie w tej tak wielkiej sprawie wspomagania kulturalnego rozwoju narodu".

Pisarz polski, literat, poeta, czytający te apele Kasy Mianowskiego przeciera oczy ze zdumienia: Oto uczeni polscy, mimo, że posiadają własną, wielką instytucję, własną drukarnię, własną instytucję wydawniczą, własne domy wypoczynkowe odwołują się jeszcze do społeczeństwa po wydatniejsze poparcie. Przecież ci sami uczeni, gdy mowa o jednej znacznie mniejszej od Kasy Mianowskiego instytucji literackiej dla literatów, wzruszają naogół ramionami i twierdzą, że nie widzą w praktyce życia żadnego uzasadnienia dla takiej instytucji.

Uniwersytety, politechniki, wyższe zakłady naukowe, Akademja Umiejętności, Kasa Mianowskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, fundacje bibljoteczne Raczyńskich, Baworowskich, Pawlikowskich. Zapewne, że dla potrzeb naukowych wielkiego narodu nie jest to wiele. O ileż jednak więcej, — niż ma w Polsce nawet wobec nauki naszej (gdy mowa o uposażeniu) nieszczęsny parjas, — to jest literatura polska.

Czy w składzie dzisiejszego komitetu Kasy zasiada chociaż jeden pisarz polski? W pierwszym komitecie zasiadał Sienkiewicz. Czy w linji po przez Żeromskiego, Reymonta, Sieroszewskiego niema godnych Sienkiewicza następców?

jkb.

O GRUPIE LITERACKIEJ „CZARTAKA"

II.

W okresie przesadnego kultu dla formy i słowa, w okresie lekceważącego traktowania założeń treściowych, czyn „Czartaka", głoszący powrót do przyrody celem ratowania podstaw idealistycznych przed materjalizmem zbiorowisk miejskich, jest istotnie czynem społecznym nieprzemijającego znaczenia. Wprawdzie hasła powrotu do przyrody są znane w dziejach literatury powszechnej, spotykamy je bowiem i w piśmiennictwie starożytnem, i w czasach średniowiecza, i w epoce romantycznych poczynań (łączy je wspólne dążenie do uwolnienia człowieka z krępujących więzów cywilizacji i do nawiązania ezrwanych nici z Bogiem), — to jednak czyn poetów „Czartaka", idący od równin ku górom, by z nich rzucać w skupiska ludzkie zawołania wiary i miłości, nosi znamiona pewnej odrębności programowej. Czyn „Czartaka" dojrzewał w atmosferze rzetelności etycznej — jako reakcja przeciw poniżaniu zasad moralnych, rósł w przeświadczeniu, że „ćwierćwiecze minione jest zaprzeczeniem wszelkiej etyki, jest podeptaniem wiary w Boga i w człowieka, jest przekreśleniem wszystkich prawd ewangelicznych, które w ubiegłych wiekach były czołowemi dewizami ludzkości"[1]). Chociaż nietrudno wyczuć w tych słowach patos przesady, trzeba podkreślić, że pierwsze poczynania grupy szły po linji nakazów etycznej natury.

Naogół utarło się przekonanie, że poezja jest wrogiem wszelkiej programowości. Sądzę, iż udało mi się wykazać w poprzednim artykule na podstawie objektywnych punktacyj, że grupa poetów beskidzkich poszła drogą wskazań programowych. Niewątpliwie grupa „Czartaka" odegrała w literaturze polskiej rolę ważką — nietyle dzięki pierwiastkom twórczo - zapładniającym ile dzięki czynnikowi reakcji, skierowanemu przeciw materjalistycznemu światopoglądowi. Niemniej twórczość tych poetów, którzy z dobrej woli i w zrozumieniu istotności takich a nie innych zadań, potrafili poświęcić indywidualne dążenia na ołtarzu obowiązków kolektywnych, jest typowym objawem ofiarnictwa. Rzecz prosta — jest to temat do dyskusji, czy wolno w imię koncepcyj programowych, tworzonych ad hoc odchodzić od własnych warsztatów pracy, wyrzekając się dążeń osobistych, faktu jednak ofiarnictwa przemilczeć nie można i nie sposób. Poza jednym jedynym Zegadłowiczem, którego twórczość stała się busolą dla ideologji „Czartaka", działalność pozostałych poetów posiada wszelkie cechy karnego podporządkowania się w ramach zakreślonego programu.

„Czartak" nie stał się zalążkiem polskiego regjonalizmu, chociaż początkowem zadaniem grupy było „dotrzeć do rudymentów gwary beskidzkiej, poznać ziemię i człowieka tej ziemi[2]) i wspólną pracą przekazać literaturze indywidualne wartości drzemiące

[1]) E. Kozikowski — „Glosa o marzeniach i tęsknotach naszych" — „Czartak" 1928 r.

[2]) [3]) E. Kozikowski — „Idea regjonalizmu a grupa „Czartaka" — „Głos Prawdy" Nr. 43 1926 r.

wśród ludu beskidzkiego Przy szczęśliwych konjunkturach rozwojowych można było zapoczątkować w literaturze polskiej ruch regjonalistyczny, który na Zachodzie rozlał szeroką falą, — można było stworzyć podstawy literatury narodowej przez wydobycie na jaw „wszystkich ukrytych wartości w postaci gwary, podań, klechd i zwyczajów, które żyją wśród ludu“ [3]) i przez stworzenie żywego człowieka, wypełnionego prawdą rzeczywistości. Człowiek stanowi rdzeń i podstawę każdego zjawiska życiowego, bez człowieka życie jest nie do pomyślenia. „Wszystkie prawdy życia zbiorowego zbierają się — pisze Artur Górski — w zagadnieniu życia człowieka. Gdziekolwiek się zwrócimy z zamiarem budowania życia zbiorowego, wszędzie napotkamy wpoprzek drogi przedewszystkiem to zagadnienie indywidualne. Wszystkie inne sprawy będą wtórne. Zagadnienie człowieka jest samym pionem budowy, potem dopiero mówić można o stylu budowy. Czy zechcemy wierzyć w postęp techniczny, czy w warunki ekonomiczne, czy w wychowanie, czy w rasę, czy w dążenie do potęgi państwowej, wszystkie stąd idące poczynania utrzymają się w sobie o tyle, o ile prawda ogólna o człowieku nie uległa w nich skrzywieniu“ [4]). Regjonalizm — jak zaznaczyłem — idzie drogą badania ziemi i człowieka, ich przeszłości i teraźniejszości, wpływu procesów socjologicznych i ekonomicznych na kształtowanie społeczeństwa. Grupa „Czartaka“ zagadnień tych nie dźwignęła, aczkolwiek sam Zegadłowicz w początkach działalności zdawał sobie sprawę z konieczności sięgnięcia do tych spraw, pisząc o nich w sposób następujący: „Beskid z nieogarnionem pięknem przyrody, legend i odrębności etnicznej mieszkańców, ich realizmem i mistycznem (społecznym i religijnym) stał się krainą wybraną poezji — i czemś więcej jeszcze — symbolem wolności i wzniosłości — pojęć zatraconych i stłumionych eksperymentalizmem złudnym lub reakcjonizmem barbarzyńskim“ [5]). Z almanachów „Czartaka“ nie można odcyfrować tego współżycia, jakie wypływa z oddziaływania ziemi na człowieka i człowieka na ziemię. Beskid z kart „Czartaka“ jawi się oczom czytelnika — jako teren podgórski o malowniczem położeniu, gdzie mieszkańcy porozumiewają się ze sobą gwarą zbliżoną do podhalańskiej, ale człowieka, syna tej ziemi, nie poznajemy. Ludzie Zegadłowicza, zaklęci w postacie druciarzy i kamieniotłuków, wywierają wrażenie wycinanek etnograficznych (również z pewnemi zastrzeżeniami!), nie dających żadnego pojęcia o psychicznych walorach człowieka ani nic nie mówiących o jego zainteresowaniach społecznych. W czasach rozrostu instynktu społecznego, w czasach rozkwitu czynników gromadzkiej wspólnoty, takie odgraniczanie się od społecznego nurtu murem wyniosłości indywidualistycznej mimo niezliczonych odwoływań się do ewangelji uniwersalistycznej, nabiera znamion przeżytku muzealnego z okresu rozbujałego parnasizmu.

W traktowaniu o społecznem twórczych wartości człowieka objawia się niezrozumienie psychiki współczesnej, opartej na dynamice kolektywnych współdziałań. Niema życia duchowego poza społeczeństwem — pisze Z. Wasilewski, omawiając działalność „Czartaka“. „Jednostka jest tworem pochodnym, i tylko dzięki psychice urobionej w społeczeństwie posiada jakąś wrażliwość na piękno nawet w przyrodzie, nietylko na piękno dobra i prawdy. Tam bierze początek ów pierwiastek prometejski, przenikający foramcję moralną poety, pierwiastek bez którego niema tonu, obowiązującego serca ludzkie do oddźwięku i staje się sprawą poufną poety. Doznania artysty są o tyle interesujące, o ile przejdą przez pryzmat duszy cywilizowanej“ [6]). Odżegnywanie się od podstaw społecznych i zrywanie wszelkich więzów z kulturą wypracowywaną potem i mozołem w ośrodkach cywilizacyjnych, wytwarza atmosferę nierzeczywistości, atmosferę poetyckiego zakłamania, uniemożliwiającą jakąkolwiek pracę, a cóż dopiero pracę, która pragnie być czynem społecznym. O ile przeto hasła głoszone w wyznaniach programowych „Czartaka“ były zapowiedzią tego rodzaju czynu, o tyle owoce działalności w postaci wypracowań poetyckich odbiegają daleko od pierwotnych założeń. Pozbawione podstawowych osnów społecznych są raczej pewną odmianą snobizmu literackiego, jakiego pełno w produkcji literackiej każdego roku.

Powstrzymując się ze zrozumiałych powodów od rozwijania poglądów własnych na tę sprawę, pozwolę sobie zacytować ustępy z trafnego artykułu J. Herlaine'a. „Proklamowana przez „Czartak“ miłość, ogarniająca żywioły, życie, ziemię i wszechświat i światło białe, jako cel i tęsknotę, nie da się utrzymać w dzisiejszym stanie rzeczy, kiedy to jedynym narzucającym się i wyczekiwanym hasłem dla stającej się społeczności jest miłość człowieka, a tęsknotą: szczęście jednostki. Bez wyrabiania w sobie poczucia godności tej jednostki, liczenia się z jej potrzebami, brania pod uwagę i wykorzystywania jej myśli, idei, pomysłów i pragnień, nie osiągniemy nigdy ani zainteresowania, ani żadnej spoistości, ani społecznej, ani politycznej. Loty „Czartaka“ — mimo wszystkich ich zastrzeżeń, jakoby Beskidy były dla nich tylko odskocznią — są przeto jedynie lotem barwnej, brzęczącej ważki nad stojącemi wodami prowincjonalnej zapadliny w pogoni za muszkami i białem światłem. Korzyści ani nawet zadowolenia nikt z tego mieć nie będzie, że jacyś tam poeci z prowincji udają ważki, ryby czy ptaki, żądni życia w bezpośrednim kontakcie z wszechświatem. Ani życie na nich, ani oni na życie wpływu nie wywrą. Jak ten szczątkowy organ społeczny, jak te wymierające żubry, zaginą we własnem sybaryckiem odosobnieniu“ [7]).

Poddanie gruntownej rewizji działalności grupy i wykreślenie na tej podstawie nowych dróg staje się obowiązkiem pisarzy, którzy kładli podwaliny pod ideologję „Czartaka“.

O możliwościach i rodzajach korektury programu pomówimy w artykule następnym.

E. Kozikowski.

---

[4]) A. Górski — „O służeniu prawdzie“ — „Muzea regjonalne, ich cele i zadania“. Warszawa. 1928 r.

[5]) E. Zegadłowicz — „Powsinogi beskidzkie“. Wydanie drugie 1928 r.

[6]) Z. Wasilewski — „Czartak“ — „Tęcza“ Nr. 15 — 1928 r.

[7]) J. Herlaine — „O źdźbło pomysłowości“ — „Dzień Polski“ Nr. 208 — 1928 r.

Z GALERJI TYPÓW DAWNYCH DZIENNIKARZY WARSZAWSKICH

III.

Ponadto, jak się rzekło, redakcja „Kurjera Codziennego składała się z kilku pisarzy, wówczas jeszcze bardzo młodych, ale mających kiedyś zdobyć rozgłos w polskiem piśmiennictwie. Oto np. Klemens Junosza - Szaniawski. Był to wówczas świeżo wysadzony z siodła obywatel ziemski, przybyły z Podlasia do Warszawy gdzie przypadkowo los zetknął go z Bolesławem Prusem.

Tu powtórzyła się mniej więcej, taka scena jak się rozegrała niegdyś między Mickiewiczem, a Henrykiem Rzewuskim. Mianowicie, kiedy Rzewuski opowiadał Mickiewiczowi, spotkawszy go w Rzymie, o swoich egzotycznych podróżach, Mickiewicz, w trakcie opowiadania przerwał Rzewuskiemu taką uwagą:

— Pisz tak, jak mówisz, a będziesz pierwszorzędnym pisarzem.

Rzewuski poszedł za radą Mickiewiczowską i istotnie został jednym z najlepszych naszych powieściopisarzy. Junosza opowiadał Prusowi o swoich kłopotach, jakie miał z okolicznymi żydkami podczas gospodarowania na swojej Wólce podlaskiej. O tem, jak to go oni naciągali, na jakie brali się sposoby i ile na tem stracił, zanim wyszedł z torbami.

Przy jednej z takich historji o „Pająkach wiejskich", Prus przerwał Junoszy i powiada:

— Pisz tak, jak mi opowiadasz, a staniesz się wybitnym pisarzem.

Tak się też stało.

Junosza zasłynął wkrótce swemi obrazkami z życia drobnych dzierżawców i obywateli na wylocie, trapionych przez brodatych wierzycieli. Później stały się powszechnie znane jego świetne monologi chłopsko-żydowskie z ilustracjami Kostrzewskiego; wśród nich jak brylant, błyszczała pani Piperment na wodach w Ciechocinku. A w tymże Ciechocinku i innych Nałęczowach znakomity monologista Zawadzki wywoływał swemi produkcjami huragany śmoechu.

Zdawało się, że Junosza, który tak umiał stwarzać typy, potrafi napisać niejedną doskonałą komedję. Tymczasem nie dał ani jednej. Przyczynił się do tego może ów pośpiech, z jakim Junosza musiał pisaać, aby jako tako na życie wystarczyło. Miał żonę i trzech synów, w kurjerze pięćdziesiąt rubli miesięcznie, a pozatem — długów po uszy.

Nie rozstawał się więc nadal na bruku warszawskim ze swymi pożyczkodawcami mojżeszowego wyznania.

Żeby opisać owe typy wierzycieli, które nawiedzały Junoszę w redakcji, trzebaby mieć jego własne pióro. Inaczej — nie da się. On jeden umiał z paru szczegółów pokazać całego lichwiarza, całego pachciarza, albo kupca handlującego skórkami zajęczemi.

Teraz już coraz mniej takich typów, chcociaż powiadają, że podobno, conajmniej po jednym takim posiada jeszcze każda warszawska redakcja.

Do mojej świadomości z dawnego Kurjera Codziennego doszła sylwetka brodatego wierzyciela, który w gwarze redakcyjnej nazywał się „Raptem". Pochodziło to stąd, że po każdej takiej wizycie, kiedy koledzy redakcyjni obstępowali Junoszę ze wszystkich stron z natrętnem pytaniem:

— Dużo ci dał? — on odpowiadał niezmiennie:

— Raptem głupich dziesięć rubli. —

(Podobno i takie sceny — oczywiście z uwzględnieniem różnicy waluty — w redakcjach warszaawskich powtarzają się do dziś dnia).

Następną ciekawą postacią wśród współpracowników kurjerowych był Michał Wołowski. Późniejszy komedjopisarz, autor „Towarzysza pancernego", (który to utwór wespół z „Wieńcem Grochowym" Antoniego Małeckiego stanowi wcielenie komedjowe postaci Imć pana Jana Chryzostoma Paska). — Wołowski, nie przeczuwając zapewne, że zostanie kiedyś wielkim dyrektorem (i trzeba przyznać, że bardzo zdolnym) teatru Łódzkiego — prowadził w kurjerze dział miejski. Był to jednak niepoprawny marzyciel, a redagowanie działu miejskiego wymaga wyjątkowej uwagi. To też gaffy, jakie się przytrafiały Wołowskiemu, opowiadane były natychmiast po wszystkich kawiarniach, gdziekolwiek się zbierali literaci i dziennikarze.

Kiedyś naprzykład, w rubryce kurjerowych „wiadomości bieżących" ogłoszono urbi et orbi, że prezesem Towarzystwa Dobroczynności czy też jakiejś innej instytucji obchodzącej wówczas całą Warszawę, został doktór Luc. Zachodzono w głowę, coby to była za postać, której nikt nie zna. Tymczasem inne pisma doniosły, że na wspomnianą placówkę powołany został zupełnie kto inny, bo doktór Lucjan Wrotnowski. Okazało się, że Wołowski dał wzmiankę na zasadzie ołówkiem pisanej notatki, której jedna strona kończyła się na sylabie: Luc — a druga zaczynała się od: jan Wrotnowski. Nie spojrzał jednak na dalszy ciąg, a że przyzwyczajony był do „jednostronnych" rękopisów, więc dał do druku wiadomość o doktorze Lucu. Skutek był taki, że biedny pan Michał nie mógł się przez pół roku co najmniej pokazać w żadnej kawiarni, bo go wszędzie prześladowano owym doktorem Lucem.

Ale zdarzały się i gorsze kawały, mniej niewinne.

Oto wyszło właśnie rozporządzenie oberpolicmajstra, aby wszystkie afisze teatralne i wogóle wszelkie ogłoszenia o widowiskach, rozlepiane na murach miasta, drukowane były w dwóch językach: polskim i rosyjskim. Wołowski nic nie miał lepszego do roboty, jak dać w dziale **miejskim** kurjera wzmiankę iż **w Chinach** ukazało się zarządzenie drukowania afiszów w takim języku, w którym się pisze „mama", a czyta „tata". Łatwo sobie wyobrazić ile ambarasu miał z tego powodu redaktor naczelny, któremu groziło „zamknięcie", taksamo, jak i wydawnictwu. Ściągano go z urlopu do Warszawy, gdzie musiał się gęsto tłumaczyć przed cenzorem i odpowiednio opłacać.

Tu zaznaczyć wypada, że aczkolwiek istniał wówczas system cenzury prewencyjnej, nie uwalniało to jednak redaktorów od odpowiedzialności, władze bowiem wychodziły z założenia, że cenzor może w pośpiechu nie zauważyć tej intrygi, jaką chytre pióro polskie w sobie kryje.

T. Hiż.

POLONICA UKRAIŃSKIE

Uczony ukraiński o Słowackim.

Prof. Eugenjusz Rychlik z Instytutu Narodowej Oświaty w Nieżynie, pod Kijowem, wydał pracę p. t. „Ukraińskie motywy w poezji Juljusza Słowackiego".

Uczony ów stwierdza, że polska krytyka nie zajmowała się dotąd specjalnie ukraińskiemi motywami w twórczości Słowackiego. Prof. Rychlik zaznacza, że Słowacki uważał się za wołyniaka, znał język ludowy i był w stosunkach z polskimi poetami z Ukrainy. Wielka część jego utworów odnosi się do spraw ukraińskich. Topografja, przyroda, krajobraz, historja Ukrainy w różnych epokach wraz z kultem jej mogił, przesuwają się w jego poezji w sposób coraz świetniejszy. „Beniowski" i „Sen srebrny Salomei" to szczyty tego „ukrainizmu" Słowackiego. Koncepcja Ukrainy przeszła u niego przez trzy fazy: idylizmu, tragizmu, mesjanizmu. Znać w tem było na każdym kroku umiłowanie Ukrainy.

Praca prof. Rychlika opiera się o liczne cytaty i dowodzi dużej sumienności badawczej, a ukazanie się jej obecnie świadczy, że badania podobne mogą ukazywać się w druku po tamtej stronie kordonu, pomnażając „polonica" naukowe cennemi pozycjami obok, niestety, znacznie częstszych ilościowo bzdur agitacyjno - propagandowych w duchu komunistycznym.

Szkolnictwo polskie w ocenie Ukraińca.

W Polsce ukazuje się cały szereg tygodników i miesięczników w języku ukraińskim, przeznaczonych głównie dla popularyzacji idei odrębności narodowościowej licznego odłamu narodu ukraińskiego, zamieszkałego od wieków w granicach Rzeczypospolitej.

Myliłby się bardzo ktoś sądząc, że poziom tego czasopiśmiennictwa jest zasadniczo daleko niższy od polskiego. Taki, naprzykład „Literaturno - Naukowyj Vistnyk", wydawany od 28 lat we Lwowie jest poważnym miesięcznikiem, uwzględniającym w równej mierze i literaturę ukraińską i naukę wogóle. W dwóch ostatnich zeszytach znajdujemy tu, naprzykład artykuły o Joannie d'Arc w historji i w legendzie, filozoliczne rozważania o optymiźmie, o Szekspirze i przyrodniku Bremie, o niedomaganiach wsi francuskiej i in. tematy, świadczące o szerokim horyzoncie zainteresowań czytelników tego miesięcznika naczelnego organu oświeconych Ukraińców w Polsce.

Uwagę naszą zwłaszcza zatrzymał artykuł podpisany literami O. W. pod tytułem „Dribni zamitky pro ważnu sprawu"; do wypowiedzenia tych uwag i myśli dało asumpt przemówienie premjera Świtalskiego na poprzedniem stanowisku ministra oświaty, wygłoszone na zjeździe kuratorów dn. 22 marca, które wywołało, jak pisze autor, „wełyku buczu" w polskiej prasie. — „W naszej prasie, pisze dalej Ukrainiec, mowa ta nie była zauważona", i wobec tego przytacza z niej obszerne ustępy, zestawia z uwagami na ten temat prof. S. Grabskiego, drukowanemi w czerwcu w „Lwowskim Kurjerze Porannym", aby, dojść do wniosku, że wśród Polaków u przedstawicieli nawet wrogich sobie politycznie obozów panuje jeden pogląd na sprawę wychowania młodzieży! Podkreśla się moment uprawy charakteru wychowania woli, poddania uczuć dyscyplinie świadomości celów, jakim służyć powinny uczucia.

Dążenia te w polskiem życiu stwierdza ukraiński obserwator nawet w takich faktach, jak wybór tematów dla sensacyjnych opowiadań w bibljotece „Roju", poświęconych przeważnie walce wyzwoleńczej i wysiłkom indywidualnym rekordowym w osiągnięciu celu własnego, narodowego, ogólnoludzkiego. Inna impreza wydawnicza, bibljoteka „Filomaty", która zgrupowała najwybitniejszych uczonych Polaków, wzięła akgdyby za motto swej działalności apel Sienkiewicza do przeszczepienia antycznej kultury, oddalającej nas od wschodu i zbliżającej ku zachodniej cywilizacji woli i czynu.

O dążeniach do reformy szkolnej w tym kierunku stwierdza O. W., świadczą również dążenia pedagogiki niemieckiej, francuskiej, amerykańskiej.

Na tle tych wszystkich wysiłków autor poddaje bardzo krytycznej ocenie obecne tendencje zbiorowe ukraińskich organizacyj oświatowych, w pierwszym rzędzie „Proswity", „Ridnoj Szkoły". Moralizatorskie i dydaktyczne wydawnictwa oświatowe ukraińskie obce są zupełnie nowym wymaganiom pedagogiki zachodniej. Masowe przekłady z literatury rosyjskiej współczesnej są bardzo jednostronnym pokarmem dla podrastającej młodzieży

Ciekawe są również uwagi autora o stosunkach w publicystyce ukraińskiej, gdzie wszelki apel do fascynowania młodzieży ideałami wielkich ludzi, traktowany jest jako szlachecki kaprys, nawet—hajdamactwo. „U nas w tej dziedzinie, pisze Ukrainiec, możliwe jest że jeden i ten sam redaktor wydaje pismo zwalczające i popierające bolszewizm. Czy na Zachodzie można być jednocześnie redaktorem „Matin" i „Humanité", „Słowa Polskiego" i „Dziennika Ludowego"?

„Drobne" te uwagi kończą się napomnieniem, że wówczas gdy inni o mile całe wyprzedzają postępy Ukraińców na polu kultury, czas najwyższy zorjentować się, jakie hasła naczelne kierują tym postępem u sąsiadów i zastanowić się nad zastosowaniem tych haseł u siebie.

Polskie tematy w badaniach literackich.

Za kordonem, w Kijowie, ukazał się dwutomowy zbiór prac dla uczczenia znanego historyka prof. M. Hruszewskiego p. t. „Juwilejnyj Zbirnyk na poszanu akademika M. S. Hruszewskogo". Wydanie tej księgi jest zasługą kijowskiej Ukraińskiej Akademji Nauk. Różnostronna działalność sędziwego historyka, badacza wielu stron przeszłości ukraińskiego narodu — stosunków politycznych, społecznych i kulturalnych— została odzwierciadlona w wielkiej rozmaitości ogłoszonych tu prac, dotyczących zarówno kwestyj ogólno historycznych, jak i specjalnie literackich.

Z dziedziny ukraińskiej etnografji, filologji i historji literatury, opublikowano tu czterdzieści prac pióra uczonych, zamieszkałych bądź w U. S. S. R., bądź w Polsce. Zbyt wiele zazębień w tych dziedzinach istniało pomiędzy Ukrainą a Polską, aby ślady

polsko - ukraińskich stosunków i wpływów nie były surowym materjałem, który w każdej prawie z tych prac w mniejszym lub większym stopniu musi być brany pod rozwagę. Wszakże nas specjalnie będą interesować tematy polskie wyłącznie, które są przedmiotem kilku dociekań specjalnych w tym zbiorze prac i przyczynków oryginalnych.

Prof. E. Rychlik p. t. „Pro dejaki polski perekłady ukrains'kych narodnich dum" analizuje trzy dumy pierwszej połowy XIX stulecia, Adama Pieńkiewicza, ogłoszone w Wilnie w r. 1883, w roczniku p. t. „Bojan, Część pierwsza". Wbrew twierdzeniom St. Zdziarskiego, że podobne utwory należą raczej do historji etnografji, E. Rychlik ustala charakterystyczne tendencje pracy tłumacza z punktu widzenia historyka literatury, który winien stwierdzić w danym wypadku co wpływało na odchylenia tłumacza — i dość znaczne nawet — od oryginału. Pewna frazeologja, szablon, trafaret w traktowaniu ukraińskich tematów przez ówczesnych pisarzy polskich znalazły wyraz i w tłumaczeniach A. Pieńkiewicza.

Prof. S. Masłow p. t. „Do pytania pro literaturnu spadszczynu S. W. Łukomskoho", ustala autorstwo całego szeregu tłumaczeń z języka polskiego na rosyjski amatora historycznych kronik, który urodził się w Humaniu, dłuższy czas spędził w Polsce, a narodowość swoją określał: „naciejeju ja małorossijanin... rodiłsia w ukrainskom gorodie Umani". Zwał się — Stefan.

Do polskiej poezji bezpośrednio wprowadza nas studjum M. Moczulskiego, z Galicji, o „Rusałkach Bohdana Zaleskiego". Typ rusałki w wierszach polskiego poety odbiega bardzo znacznie od ludowych pojęć ukraińskich o rusałkach. Za wzór Zaleskiemu służyły raczej rusałki niemieckie i celtyckie, znane poezji romantycznej ówczesnej. Bohdan Zaleski tworząc postacie rusałek w swej poezji wstępował w ślady Niemca Uhlanda, a nie starał się bynajmniej sięgnąć do istotnych ukraińskich tradycyj w tej dziedzinie. Podobną opinję wypowiedział już o B. Zaleskim poeta Iwan Franko, a i Józef Tretiak w swej obszernej monografji o naszym poecie zwracał już uwagę na „cudzoziemskość" rusałek Bohdana Zaleskiego.

Walne przyczynki dla dziejów „bałagulstwa" zawiera artykuł W. Gnatiuka z Żytomierza p. t. „Jarmarkowe ukrainofilstwo w żytti ta literaturi (bałagulszczyna)". Początki bałagulstwa sięgają 1832 r. i są nie bez związku z likwidacją powstania, koniec przypada na r. 1845. Ośrodkiem „popisów bałagulskich" był Berdyczów z jego słynnemi jarmarkami. Tytuł „króla bałagułów" piastował Antoni Szaszkiewicz, wice-króla — Władysław Padlewski, adjutanta — Adam Wyleżyński. W „Pamiętnikach" Bobrowskiego jest rejestr piętnastu bałagułów. Autor stara się zgromadzić wszelki materjał, dotyczący tej polskiej mody ukrainofilskiej, nie pomijając mało znanych i w Polsce komedyj satyrycznych Karola Drzewieckiego i Karola Gejncza „żytomierskiego polsko-ukraińskiego dramaturga" p. t. „Kontrakty" i „Młodzież tegoczesna". Autor przyznaje zupełną rację Wacławowi Lipińskiemu, który w książce „Szlachta na Ukrainie", wydanej w Krakowie 1909 r., daje tym bałagułom miejsce w historji ukraińskiej myśli narodowej. Dziwactwa, koncepty i maskarady bałagułów miały źródło w uczuciach protestu, które towarzyszą każdemu zdrowemu odruchowi przeciwko zaśniedziałym kształtom życia i opinji ludzkiej.

Tę wiązkę poloników w księdze ku czci Hruszewskiego uzupełniają dwie rozprawki o dziele angielskim Henryka Krasińskiego, wydanym w Londynie, p. t. „Gonta. An historical Drama", w 1848 r., będącym dramatyczną przeróbką powieści Czajkowskiego „Wernyhora". Obie te prace pochodzą z pod pióra badaczy, zamieszkałych, we Lwowie, dr. I. Brika i P. Łuszpińskiego.

T. Gleyden.

OBJEKTYWIZM CZY KONSTRUKCJONIZM W MUZYCE

Pan Charles Koechlin jest kompozytorem, teoretykiem (niedawno wydał trzytomową harmonję) i krytykiem-estetykiem, który często zabiera głos w kwestjach, zajmujących dzisiaj świat twórców muzycznych. Ostatnio napisał szereg artykułów p. t. „La sensibilité dans la musique contemporaine". P. Koechlina niepokoją niektóre hasła dzisiejszych kompozytorów i wyznawane przez nich poglądy estetyczne.

Zdaje nam się, że autor zbyt wielką rolę przypisuje znaczeniu tych haseł. Wygłaszane zdania, często mają raczej charakter obronny, bojowy. Przedewszystkiem tworzy się, a potem zjawiają się poglądy i wyznania wiary estetycznej. Mamy wrażenie, że artykuły p. Koechlina są również do pewnego stopnia obroną jego własnej twórczości, jakkolwiek nie jest ona tak wybitną, żeby ktokolwiek bardzo się nią interesował. Ale zawsze wskazuje na pewne upodobania, prawdopodobnie nieodosobnione, a reprezentuje całą grupę, w której imieniu p. Koechlin przemawia.

Jakiekolwiek są przyczyny pojawienia się tych artykułów, poruszają one jednak ważne problemy i to w sposób wysoce ciekawy, p. Koechlin jest bowiem muzykiem i estetykiem o dużej inteligencji i kulturze artystycznej.

Co właściwie niepokoi tak p. Koechlina?

Kwestja wyrazu w muzyce, objektywizmu czy konstrukcjonizmu?

Otóż wszystko.

Są to problemy, które już dawno istniały przed wojną w formie walki z romantyzmem. Ale nie należy zapominać, że była to walka z muzyką niemiecką, z jej hegemonją, iż szło o utorowanie drogi muzyce francuskiej. Wszystko to przeradzało się w pewne jaskrawe powiedzenia. Nic dziwnego: — walczono radykalnie. Pamiętamy, że wtedy właśnie pojawiły się artykuły poważnego krytyka „Mercure de France" w sposób niebywały druzgocące Beethovena i Chopina. Ale któż to znowu brał te sprawy tak bardzo serjo? W Paryżu — nikt. Natomiast w Warszawie, jeden z wybitnych publicystów oburzył się srodze z racji Chopina, i dopatrując się w tym artykule przejawu jakiegoś szowinizmu nie wiedział o co wła-

ściwie chodzi. Nikt nie chce walczyć z sentymentem i głębokim wyrazem w muzyce. Chodzi raczej o przewagę tych, lub innych czynników kompozycji, a także o poziom tego, co się ma do powiedzenia. Oczywiście — p. Koechlin ma rację, iż wszelkie hasła objektywizmu, neoklasycyzmu, powrotu do Bacha itp. o tyle są bez podstaw, że sama twórczość zaprzecza tym hasłom. P. Koechlin udowadnia to na przestrzeni twórczości muzycznej od Debussy'ego aż do czasów dzisiejszych. Niepotrzebnie więc zląkł się autor powiedzenia p. René Chalupt „Nous sommes enfin débarassés de l'expression", kiedy sam jest zdania, że żaden z młodych nie pisze muzyki pustej, bez sentymentu. Dotyczy to zarówno Poulenca i Aurica, jak i młodych Sauguета, Jacoba i najmłodszego Delonnoy'a

Zdaje nam się, że dyskusję należałoby przenieść na inną płaszczyznę i zwrócić uwagę na dwie dążności dzisiejszych kompozytorów: prostotę (w Niemczech mówią „przystępność") i groteskowość. Prostota nie jest rzeczą groźną, o ile nie wpada w wulgarność. Otóż zauważyć można, że ta ostatnia grozi tylko kompozytorom niemieckim. Ich „Gebrauchmusik" prowadzi często do rzeczy banalnych, od których nie są wolni nawet kompozytorzy tak uzdolnieni jak Krenek (Jonny spielt auf) i Weill (Dreigroschen Oper). Ale we Francji żaden z wymienionych wyżej kompozytorów w banalność nie wpada nigdy, a Honnegger, jak słusznie twierdzi świetny krytyk francuski Artur Hoerèe, może być wzorem kompozytora popularnego w najlepszem znaczeniu tego słowa.

Groteskowość jest dzisiaj formą ulubioną, ale dodajmy, że jest to rodzaj bodaj najtrudniejszy. Groteska zewnętrznie pełna humoru, zawierać może wielkie mądrości, a nawet głęboki sentyment.

Młodzi kompozytorzy lubią wymieniać i wyróżniać niektóre wielkie nazwiska. Dzisiaj więc mówią o Bachu i Mozarcie. Podnosi się niektóre strony ich wielkiej twórczości: konstrukcję u Bacha i groteskę u Mozarta, a p. Koechlinowi zdaje się, że są to fałszywe poglądy na ich twórczość. Bynajmniej — jest to tylko uwzględnienie pewnych właściwości w ich kompozycjach z pominięciem innych. Ale z tego powodu muzyce nie grozi żadna katastrofa. P. Koechlin uważa przejawy humoru i groteski za ucieczkę od głębszych przeżyć. Według nas, dzisiejszy twórca nie jest artystą mniej poważnym od kompozytora dawnych epok. Rzecz w tem, że się inaczej wyraża — inną operuje melodją. Słusznie mówi p. de Schloezer o Strawińskim:

Niema nic gorszego, jak przyzwyczaić się do pewnego typu melodyj. Bo najtrudniej jest chwycić sens melodji nowej. Stąd pochodzą zwykle posądzenia o brak melodji, a dodajmy o brak wyrazu, głębi itp. Dzisiejsza twórczość ze wszystkiemi kierunkami jest bardzo bogata i różnorodna. Indywidualności i talentów jest dużo. Dzieł ciekawych pojawia się mnóstwo. I narzekać niema powodu. Żadnych braków niema. A już najmniej daje się odczuwać brak jakichś wzniosłych haseł. W dzisiejszej epoce mogłoby to tylko doprowadzić do sztucznej powagi, do czegoś arcynudnego i zgoła niepotrzebnego.

St. Z.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

„Carro di Tespi".

Z ramienia instytucji faszystowskiej: „Opera Nazionale Dopolavoro" zorganizowano we Włoszech artystyczny teatr objazdowy, nazwany „Carro di Tespi", (Wóz Tespisa), którego kierownictwo powierzono znanemu autorowi dramatycznemu, Gioacchino Forzano, wybitnemu reżyserowi medjolańskiej „Scali".

Wielce oryginalna i ciekawa jest organizacja tego teatru objazdowego, mającego na celu przedewszystkiem docieranie do odległych miejscowości półwyspu apenińskiego, do których zazwyczaj nie przybywają wcale trupy teatralne włoskie. Miarodajnym sferom nowego regimu italskiego idzie głównie o to, aby nawet najzapadlejsze zakątki Italji miały możność pogłębiania swej kultury artystycznej zapomocą odpowiednich przedstawień teatralnych. W tym celu dobrano też repertuar i zespół artystów, złożony przeważnie jednak z sił młodych, tak popieranych w faszystowskich Włoszech.

Całość uzupełniają doskonałe urządzenia techniczne i świetlne, które pozwalają na najbogatsze efekty, potęgujące wrażenie sztuki, jak grzmoty, błyskawice, przesuwające się chmury, deszcz, strumyki, połyskujące w poświacie księżyca i wiele innych. Ogólny zachwyt wywołuje nadzwyczajna sprawność personelu technicznego, który w przeciągu trzech godzin montuje cały teatr wraz z widownią pod rozpiętym namiotem, rozbierając go znów po skończonem przedstawieniu w ciągu dwóch godzin. Teatr, mieszczący około trzystu miejsc, przenosi się z nadzwyczajną zręcznością z miejsca na miejsce własnemi autobusami, które przewożą również aktorów i personel techniczny, jakoteż dekoracje i kostjumy, wykonane według projektów znanych malarzy dekoratorów opery królewskiej w Turynie, jakoteż teatru „La Scala" w Medjolanie.

Podstawą repertuaru są sztuki Alfieri'ego Goldoniego, Ferrari'ego i Forzana, grane bez suflera. Tłumy zastąpiono dla uproszczenia fonografem i radjem.

Ceny miejsc są stosunkowo bardzo niskie, wynoszą bowiem od pięciu do dziesięciu lirów, miejsce stojące otrzymuje się już za pół lira.

Wykopaliska w Aquileji.

W Aquileji, dawnej siedzibie rzymskiej rozpoczęto wykopaliska, które obejmują na razie przeważnie strefę portową i dawne fortyfikacje miasta.

W czasie robót, prowadzonych umiejętnie i fachowo, wydobyto na światło dzienne liczne kamienie z napisami, fragmenty fresków, kolumny i inne ciekawe i cenne zabytki starożytności, świadczące o dawnej świetności Aquileji.

Nowa powieść emigracyjna.

Znana i poczytna powieściopisarka włoska, Clarice Tartufari wydała obecnie nakładem firmy Campitelli w Foligno powieść pod tytułem: „Lampade nel sacrario", w której autorka zajmuje się w sposób in-

teresujący życiem emigrantów włoskich w Tunisie.

Powieść popularnej autorki, która na miejscu badała stosunki wśród emigrantów włoskich, oświetla je nieco jednostronnie, zwracając głównie uwagę na tę garstkę ludzi, którzy zorjentowawszy się natychmiast w miejscowych stosunkach umieli wyzyskać je należycie dla własnych celów i korzyści i ułożyć sobie życie wśród obcych dostatnio i wygodnie.

W znacznie mniejszym stopniu uwzględnia autorka los rzesz licznych biedaków, których życie ukształtowało się na obczyźnie równie ciężko, jak w ojczyźnie.

„Lampade nel sacrario", ta powieść o silnem zabarwieniu społecznem, przedstawia w żywej, zajmującej formie ciężkie i wielce skomplikowane przejścia osobiste bohaterów, emigrantów z Sycylji, którzy opuścili ojczyznę po straszliwej katastrofie trzęsienia ziemi w Messynie.

Konkursy literackie.

Akademja Mondadori, utworzona przez znaną medjolańską firmę wydawniczą A. Mondadori, celem popierania literatury powieściowej, dramatycznej i poezji, rozpisała konkurs na sztukę teatralną, wyznaczając dziesięć tysięcy lirów nagrody. Tą piękną inicjatywą chciano uczcić pamięć zmarłego przed rokiem pierwszego prezesa Akademji Mondadori, Ferdinando Martini'ego, cenionego w drugiej połowie dziewiętnastego wieku poety, autora dramatycznego i wybitnego męża stanu w odradzających się Włoszech.

Obecnie zaś rozpisała ta sama Akademja konkurs na powieść wyznaczając nagrodę w sumie pięciu tysięcy lirów. Oprócz tego ta Instytucja, tak bardzo godna uwagi naszych wydawców i protektorów literatury, wyznaczyła nagrodę w sumie dziesięciu tysięcy lirów za dzieło o królu Wiktorze Emanuelu II.

Ciacomo Leopardi.

Giovanni Ferretti wydał tom szkiców biograficzno-krytycznych o znakomitym poecie i głębokim myślicielu włoskim pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, Giacomo Leopardim. Autor zajmuje się w owych szkicach pewnemi, nieznanemi epizodami prywatnego życia wielkiego poety, świetnego grecysty i zamiłowanego bibljofila, któremu żywot upływał w wielkim smutku, samotności i opuszczeniu.

„Rzym ludowy".

Rzymski pisarz, Ettore Veo, badający stale literacko-artystyczne dzieje wiecznego miasta wydał obecnie dzieło pod tytułem: „Roma popolaresca", w którem rozmiłowany w swem mieście ojczystem autor zajmuje się opisem dawnych, przebrzmiałych już przeważnie zwyczajów i obyczajów ludowych w Rzymie.

Ettore Veo, który już poprzednio wydał tomik pod tytułem: „I poeti romaneschi" zajmuje się w swej ciekawej ostatniej książce rozwojem pieśni i poezji ludowej rzymskiej, charakteryzując trafnie poszczególne typy owych poetów z ludu, jakoteż pieśni ludowe, śpiewane jużto z okazji uroczystości świętojańskich lub też z okazji słynnej „festa dell'uva", pozostawiające niezapomniane wrażenia w duszy widzów i słuchaczów.

Wiele stosunkowo miejsca poświęca Ettore Veo teatrowi djalektycznemu rzymskiemu, jego rozwojowi i licznym przemianom w ciągu wieku osiemnastego, kreśląc przy sposobności sylwetę świetnego aktora, Ettore Petrolini'ego, jednego z najświetniejszych przedstawicieli tak kwitnącego we Włoszech teatru w djalekcie. Wrodzona „vis comica" Petroliniego zjednywa mu z miejsca serca i miłość widzów a jego głębokie odczuwanie bólu ludzkiego wzrusza do łez. Petrolini jest nietylko znakomitym aktorem, jest również autorem dramatycznym, jak zresztą przeważnie wszyscy djalektyczni aktorzy włoscy; jest też wyjątkowym znawcą i miłośnikiem sztuk plastycznych, znanym kolekcjonerem dzieł sztuki i zamiłowanym bibljofilem, gromadzącym głównie dzieła o charakterze ludowym, dotyczące ukochanej przez niego nadewszystko „Romagni".

Fr. S.

SZTUKA W TURCJI KEMALA PASZY

Czy turcy stworzyli coś na polu budownictwa, sztuk pięknych — w ciągu IX przeszło wieków t. j. od chwili, gdy zaczęli się wdzierać do Azji Mniejszej? Czy w tak pięknych budowlach Konstantynopola, jak pałace sułtańskie Iłdyz Kiosk i nad Bosforem — Dolma Bagcze o przepięknej marmurowej koronce bram wejściowych — czy spotkać można styl rodzimy. turecki?

Niestety nie, absolutna negacja. W kraju, w którym przed wieloma wiekami rozwijała się sztuka, żyło umiłowanie piękna — pełno zabytków starej kultury, które dziś spotyka się nietylko w Stambule, ale i na każdym kroku w głębi Anatolji. Tu przeszło cztery tysiące lat temu żyli Chetyci, panowali Asyryjczycy i szła ciągle jedna nawała ludów po drugiej.

Turek zdobywca i najeźdźca niszczył wszystko, co kiedyś żyło i kwitło, żeby ugruntować swoje panowanie — przybył na koniu do Anatolji i zatracając sztukę jeżdżenia przyswajał obcą sobie uprawę ziemi, obniżając jej poziom w kraju, żył w skleconej z gliny siedzibie i nie odczuwał żadnych potrzeb kulturalnych. Tak było przed wiekami, przed rewolucją Kemala, a dziś mało co zmieniło się na lepsze.

Stolica Turcji — Angora rozbudowuje się szybko.

Powstają nowe gmachy banków, poselstw, ministerstw.

W niewielu gmachach rządowych brak smaku, jakaś wielka mieszanina o tendencji połączenia architektury orientalnej z europejską z jednoczesną konserwacją charakteru maurytańskiego.

W Angorze i Stambule postawiono pierwsze pomniki w Turcji — wielkiego Ghazi'ego (Zwycięscy) Mustafy Kemala Paszy — nie dłuta rzeźbiarza tureckiego, lecz włoskiego — Canonica.

Dziś w rewolucyjnej Turcji — Turcji wielkiego reformatora Kemala Paszy stan rzeczy zmienia się powoli, lecz odruch kilkudziesięciu ludzi — entuzjastów — to drobna kropelka w morzu obojętności.

Jeden z moich przyjaciół w Stambule — młody artysta - malarz, który szereg lat spędził w Paryżu — mówił:

— ...L'occident modèle adopté par la Nouvelle Turquie est imité coformément à l'impulsion donnée par Mustafa Kemal Pacha, dans tont ce qui peut elever le niveau intellectuel de la roue et faroriser le progrès de la nation.

W Stambule, o kilka kroków od wielkich moszei Aja Sofja i Sułtan Ahmed, wśród starych murów otaczających ogrody Starego Seraju — mieści się mały kiosk.

Z kiosku tego z za sławnych krat okien, ostatni sułtan Mahomet VI przyjmował defiladę wojsk.

Dziś mieści się tam, zaledwie od roku, siedziba Güzel Stan'atlar Birligi — klub Federacji Artystów Sztuk Pięknych.

W klubie bywałem częstym gościem — zapraszany zawsze gościnnie przez sewietana G. S. B. art. malarza Mehmed Sadi Bey'a — wielkiego przyjaciela Polski. Lokal klubu robił na mnie zawsze miłe wrażenie — duży hall, na lewo gabinet sekretarza, służący jednocześnie na zebrania sekcji teatralnej, prowadzą do dużej sali ze scenką. Bielone olejną farbą ściany, dywany, na stołach kwiaty i miejscowe dzienniki, na ścianach szereg płócien najlepszych art - malarzy tureckich. Pejzaże, widoki z nad Bosforu i z Angory o jaskrawych barwach, portrety — malowane dużemi płaszczyznami i bez wykończenia.

Obok sali kancelaryjnej, służącej i za poczekalnię mieszczą się: wielka sala zebrań, pokoje poszczególnych sekcyj, jak: muzycznej, literackiej i art.-malarzy.

G. S. B. urządza dwa razy rocznie wystawy obrazów w Angorze i w Stambule w lokalu liceum Gałata Seraï.

Urządzono w tym roku, w obecności zaproszonych dygnitarzy miasta, ich rodzin i nielicznej grupki korespondentów pism zagranicznych, dwa propagandowe koncerty.

W programie: jednoaktowa sztuczka i koncert orkiestry — utwory Mendelsohna, Bacha, Chopina.

Powodzenie ogromne, a prasa miejscowa — Cumhuriyet (Republiha), Vakit (Czas, i inne — z entuzjazmem podkreślając sukces młodych artystów.

G. S. B. ściśle współpracuje z Akademją Sztuk Pięknych, Konserwatorjum i jedynym tureckim teatrem w Stambule i Turcji — Darülbedaï. Melmed Sadi Bey, który 3 lata temu zwiedzał Targi Poznańskie i Warszawę—z entuzjazmem rozmawiał ze mną o naszej sztuce, o Zachęcie, Łazienkach etc. etc. Jesienią pragnie nawiązać kontakt z naszemi sferami artystycznemi, a szczególnie z p. Skoczylasem, którego prace najwięcej podobały się naszemu przyjacielowi.

Jaki jest udział kobiety tureckiej w sztuce?

Jeszcze bardzo mały — wszak zaledwie od kilku lat, reforma Kemala Paszy zwolniła kobietę turecką od niewolnictwa i przesądów.

Dziś w teatrze Darülbedaï kształci się i występuje kilka artystek pod kierownictwem dyrektora i reżysera teatru Ertogrul Muhsin Bey'a.

Główne role w pierwszym filmie tureckim p. t. „Kurjer z Angory" osnutym, na tle walk o wolność,— filmie o dużej wartości artystycznej — powierzono artystkom teatru Darülbedaï.

W literaturze obok Latifer hanum - literatura Halide Edib hanum i poetki Nizhiar hanum i Nezike Veli hanum — znane są w każdym zakątku Turcji.

T. N.

KOMITET OBCHODU 300-LECIA ŚMIERCI SZYMONA SZYMONOWICZA W ZAMOŚCIU

Komitet obchodu ma zaszczyt przypomnieć, że uroczystości jubileuszowe, poświęcone pamięci wielkiego poety i tak silnie związanej z nim akademji zamojskiej przełożone zostały na dni 28 i 29 września b. r.

Komitet ponawia prośbę o łaskawe wzięcie udziału w uroczystościach i o niezawodne przybycie w przeddzień obchodu do Zamościa.

Zarazem Komitet uprasza o zgłoszenie osobistego udziału do dnia 5 września 1929 r. na ręce Henryka Rosińskiego, adwokata w Zamościu, pragnie bowiem zawczasu zapewnić uczestnikom obchodu środki lokomocji i mieszkanie w naszem mieście.

* * *

Komitet honorowy: Ks. Marjan Fulman, biskup lubelski, J. K. Kochanowski, profesor uniwersytetu warszawskiego, Eustachy Nowicki, kurator okręgu szkolnego lubelskiego, Ks. Józef Kruszyński, rektor uniw. lub., Antoni Remiszewski, wojewoda lubelski, Stanisław Łempicki profesor, uniwersytetu lwowskiego, Maurycy Zamoyski, ordynat, Wacław Sobieski, profesor uniwersytetu krakowskiego.

Za komitet organizacyjny: Kazimierz Lewicki, dyrektor gimnazjum w Zamościu, Dr. Zygmunt Klukowski, lekarz w Szczebrzeszynie, Henryk Rosiński, adwokat w Zamościu.

* * *

PROGRAM
Uroczystości ku uczczeniu 300-nej rocznicy śmierci
SZYMONA SZYMONOWICZA

w dniach 28 i 29 września 1929 r.

Piątek, 27 września, godz. 8 wiecz. Zebranie zapoznawcze uczestników w salach Resursy Obywatelskiej.

Sobota, 28 września, godz. 9 rano. Ks. Kiskup lubelski Fulman odprawi uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę Szymona Szymonowicza w Kolegjacie Zamojskiej, poczem nastąpi złożenie wieńców na grobach Wielkiego Hetmana Jana Zamoyskiego i Szymona Szymonowicza;

godz. 11.30 w poł. Otwarcie zjazdu naukowego ku czci Szymona Szymonowicza: a) przemówienie reprezentanta komitetu organizacyjnego, b) przemówienie powitalne, c) odczyt „Szymon Szymonowicz na tle epoki";

godz. 2 popoł. Wspólny obiad w Resursie Obywatelskiej;

godz. 4.30 popoł. Obrady zjazdu naukowego: 1) referat o postulatach badań nad humanizmem renesansowym w Pol-

sce, 2) referat o szkolnictwie humanistycznem w Polsce, ze szczególnem uwzględnieniem akademji zamojskiej, 3) referat o postulatach badań nad Szymonowiczem i jego twórczością;

godz. 9 wiecz. Bankiet wydany przez miasto w sali posiedzeń rady miejskiej.

Niedziela, 29 września, godz. 10 r. Obrady zjazdu naukowego: a) referat o zagadnieniach regjonalnych zamojszczyzny, b) referat o architekturze miasta Zamościa, połączony ze zwiedzaniem zabytków miasta;

godz. 1 popoł. Zamknięcie Zjazdu.

godz. 2 popoł. Wspólny obiad w Resursie Obywatelskiej.

Po południu wycieczka do Czernięcina nad Purem, miejscowości, w której powstały „Sielanki".

Nazwiska prelegentów, uproszonych już o wygłoszenie referatów, podane będą później w programach ostatecznych, które będą rozesłane z początkiem września b. r.

Tam podane będą również wszelkie informacje szczegółowe.

W programie przewidywane są zmiany i uzupełnienia.

W dniach uroczystości ukaże się „Księga Szymonowiczowska" z pracami naukowemi o poecie i jego epoce oraz szereg innych wydawnictw jubileuszowych.

* * *

Tak w składzie komitetu honorowego, jak też w programie uroczystości zwraca uwagę *zupełny brak nazwisk naszych wielkich pisarzów i poetów*. Sądzimy, że o Szymonowiczu miałby tyleż ciekawego do powiedzenia Staff, czy Leśmian, — co pp. profesorzy, kuratorowie i ordynaci. Powierzać rocznicę poety dostojnikom i profesorom z wyłączeniem twórców nowego, żywego słowa polskiego — to odsuwać pamięć poety z życia ogółu w bladą atmosferę ceremonji, obciążonej wywodem naukowym. *(Przyp. redakcji).*

ODPOWIEDZI „GŁOSU PRAWDY" LITERACKIEGO

Victor: Dziękujemy za miłe słowa. Ależ list nie zginął, utwory te czytaliśmy i odpowiedzieliśmy Panu już raz. Poezje te nie odpowiadają kierunkowi, który my uważamy za dobry i zdrowy.

W. B(ch): Uważamy, że, — szczerze mówiąc, — nie ma Pan pisarskiego talentu. Intencje pańskie są szanowne i rozumne. Ale z temi intencjami, to tak trochę, jak z dobrą wolą, gdy brak warunków od natury: Coby Pan powiedział, — naprzykład, —gdyby któraś z poczciwych naszych ciotek, czy wujów podtatusiałych chciała (lub zechciał) wstąpić do baletu? W balecie nie wystarcza przecież samo poczucie piękna, dobra wola, szczera chęć. Trzeba mieć jeszcze cały szereg innych, od natury danych, wrodzonych warunków. To samo przy pisaniu poezji.

Litwin: Ależ pisaliśmy już Panu, że ową Kraluchową, po małych, formalnych skrótach będziemy drukowali. Prosiliśmy, by zechciał nam Pan przysłać, — powołując się na tytuł noweli, — imię i nazwisko, względnie pseudonim, którym podpisać Pan pragnie swój utwór.

Es. Wu. O.: Przeczytaliśmy oba wiersze: W jednym pisze Pan, że wielkość Tyberjusza okazała się płonną wobec potęgi skał. W drugim wierszu pisze Pan, że potęga skał okaże się też płonną i znikomą wobec potęgi morza. Można jeszcze napisać mnóstwo wierszy na temat znikomości morza. Jak Panu wiadomo mora zmieniają swe łożyska, są teraz gdzie ich dawniej nie było i będą jeszcze, gdzie już były. Myśli te, czy wiadomości są nie nowe. Nowem jednak może być zawsze ujęcie tych prawd. O ile poeta potrafi przedstawić taką prawdę na tle zawsze zmiennej zawsze świeżej głębi swego osobistego przeżycia, czy odczucia. Tej głębi nie spotkaliśmy u Pana. Ani tej lirycznej świeżości.

Alfred L. Kraków: Nie, nie. Rażony prądem elektrycznym, — a rzucony drutom na podpałkę, — to jednak wielka różnica ,z której, niestety, — nie zdaje sobie Pan sprawy.

M. S. G. Toruń: Służymy Panu chętnie naszem zdaniem w tym sporze: Otóż oponenci, czy przeciwnicy pańscy mają słuszność, — nie Pan. Wiersz pański zbadaliśmy sumiennie i oto nasze zdanie: Jest to wiersz „robiony", bez natchnienia, bez polotu, bez tego nurtu rytmicznego (nurtu wzruszenia), który musi być u podstawy każdego utworu poetyckiego (i prozatorskiego). Dlaczego „złaknionych kos"? Kosie jest całkiem obojętne co i czy będzie cięła. Żadnem porównaniem i omówieniem nie przekonał Pan przedtem czytelnika, że owe kosy były złaknione. Pozatem przymiotnik jest nieporęczny, jeśli nie całkiem wadliwy. Pisze Pan o błękitnej szybie nieba (porównanie współczesne) — potem o śnie chmur i gromów. Wielki brak poczucia harmonji. Chlust potu, — nonsens. Przesada nie tyle poetycka, ile chora. Przecież nie poci się człowiek tak znów bardzo, by się ten pot głośnym chlustem przez skórę wylewał. „Wialnia rąk", — zupełny nonsens poetycki. Oczywiście, że dłonie nie mogą „pęcherzyć się".

Feliks W.: Nie będziemy oceniali tych wierszy, poradzimy Panu nawet, by na razie zarzucił swą sprawę pisarską i jął się dobrej, dobrze, porządnie wybranej lektury. Proszę się nie gniewać. Sądzimy, że na pisanie poezyj ma Pan jeszcze wiele, wiele czasu.

Verax, Lwów: Na szerokie dyskusje nie mamy tu miejsca. Korespondenci nasi wiedzą o tem i niejako a priori zgadzają się na tę formę wymiany myśli. Zacytowanie pewnych ustępów, które uważamy za nieszczęśliwe, lub błędne nie jest bynajmniej chęcią ośmieszenia, czy wydrwienia. Nikomu tu na drwinach nie zależy. Wolelibyśmy przecież mieć do czynienia z doskonałymi poetami i w odpowiedziach tych dzielić się wciąż z ogółem czytelniczym radością wynikającą z nieprzeliczonych talentów poetyckiech. „Noc na polu" pójdzie. Drugi wiersz słaby bez obrazu, bez syntezy, bez jakiegoś łącznego rzutu w sferę poezji.

Judym, Kraków: Sonety pańskie pójdą w całości, wszystkie razem, szkodaby było rozdrabiać je, czy rozłączać. Są bardzo szlachetne w tonie, bogate w barwie, bardzo dostojne w rytmicznej emfazie. Przeczytaliśmy je z głębokiem wzruszeniem. Oczekujemy tych artykułów! Czy nie myśli Pan wcale o Szymonowiczu, którego rocznicę święci na jesieni uroczyście Zamość? Wydaje się nam, że poeta ten odpowiadałby doskonale biegowi zamiłowań pańskich.

Marjan Z., Poznań: Bardzo zacna myśl, bardzo liche wykonanie, pisaliśmy już tyle razy naszym przyjaciołom, że patriotyczna tendencja nie może zastąpić prawdziwego polotu poezji!

St. Sierp, Zgierz: Nie jest to przecież artykuł a tylko suche streszczenie pracy tego profesora. Czy pisze Pan jeszcze wiersze?

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ.*

Drukarnia Artystyczna, Nowy-Świat 47. **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.**